

Wszyscy kłamią, ale on robi to zawodowo.

Marcin Świetlicki

MICHAŁ
KUZBORSKI

PARADOKS
KŁAMCY



**PARADOKS
KŁAMCY**

**MICHAŁ
KUZBORSKI**

**P A R A D O K S
K Ł A M C Y**



Black
Turtle

Copyright © by Michał Kuzborski
Wszelkie rozpowszechnianie bez zgody Wydawcy zabronione.

Projekt okładki i stron tytułowych
Tomasz Majewski

Zdjęcie autora
Tomasz Woźny

Redakcja
Ida Świerkocka

Skład i łamanie
TYPO 2 Jolanta Ugorowska

Korekta
Małgorzata Denys
Joanna Rodkiewicz

Druk
Abedik SA

Dystrybucja internetowa:
paradoks-klamcy.pl



black-turtle.eu

Wydanie I, Wrocław 2019
ISBN 978-83-956129-0-9

Bliskim

Mówi T.

„Przynajmniej swoją robotę zawsze wykonuję uczciwie” – lubił powtarzać S., a było to o tyle zabawne, że z zawodu był kłamcą. Kiedy ktoś mi o nim przypomina, uśmiecham się, ale odwracam wzrok. Szczera sympatia miesza się ze współczuciem. I z poczuciem winy.

S. pił. Nie wiedział, kiedy zaczął. Dałoby się to oczywiście umiejscowić w czasie, ale nigdy nie zadał sobie tego trudu.

S. miał kobietę. Narzeczoną. Która go zostawiła. Miał więc następne i następne kobiety, żeby zabić tęsknotę za narzeczoną, żeby zabić tęsknotę za czymś więcej, wypełnić pustkę i odnaleźć siebie samego tam, gdzie odnaleźć siebie się nie da.

S. miał brata, tak samo jak ja. Kochał go i był z niego dumny, w sposób, w jaki starszy brat jest dumny z młodszego, który nie idzie w jego ślady. O ojcu wypowiadał się ostrożnie, o matce milczał. Pewnie dlatego, że od lat jej nie widział.

Wiele intryg i awantur stało się jego udziałem, ale trzy sprawy odcisnęły na nim największe piętno. Trzy akty. *Protasis, epitasis i katastrophe*. Tutaj zajmiemy się pierwszym z nich.

Wrogie przejęcie dobrze prosperującej firmy. Zagraniczni biznesmeni i polscy gangsterzy. Prezes wyprowadzany na oczach pracowników w stalowej biżuterii. Sekstaśmy, morderstwo, nagonka w prasie i kilka pięknych kobiet występujących w rolach co najmniej niejednoznacznych.

Czy S. chciał umrzeć? To trudne pytanie. Wielu chciało jego śmierci. Jego była narzeczona, jego rodzina, niektórzy przyjaciele, współpracownicy, a nawet klienci. Nikt jednak nie chciał jego śmierci bardziej niż ja.

Mówi S.

Dariusz Siewierski był trudnym klientem. Raz, że nie wyglądał. Jego płaska gęba sprawiała wrażenie, jakby ktoś mu włożył odkurzacz, niekoniecznie do ręki,

i wessał trochę twarz do środka. Albo jakby znajdował się w ciągłym stanie zderzenia z szybą. Dwa, że dorobił się w latach dziewięćdziesiątych na bazarze i takie też miał maniery. Trzy, że w jego Centrum Rozrywki „Exxtreme” wczoraj wieczorem zawalił się fragment konstrukcji. Na grupkę nastolatków. Jeszcze w nocy na portalu „Gazety Miejskiej” pojawił się tekst o wypadku i trzech licealistach w szpitalu. Niby nic strasznego, pisali o potłuczeniach i złamaniach. Ale się zaczęło.

– Czy ci chłopcy w trakcie zabawy byli trzeźwi? Czy obsługa w ogóle to sprawdza? – dociskała blondyna z pierwszego rzędu, Gosia Gołąb z „Gazety Miejskiej”. Łącznie na pospiesznie zorganizowanej konferencji w hallu Exxtreme tłoczyli się dziennikarze chyba z dziesięciu redakcji, w tym dwóch telewizji. Ewidentnie w tym wypiądzianym mieście nie działo się dziś nic ciekawszego. Siewierski zaczął się wiercić, jakby przed chwilą zamienił się na siedziska z fakirem. Niedobrze. Miał być opanowany i uśmiechnięty. Zwłaszcza że media kupowały jego wersję. Że winni są nastolatki, którzy bezmyślnie wdrapali się na drewnianą wieżę.

– Oczywiście, tak jak mówiłem, bezpieczeństwo graczy jest priorytetem w naszym centrum. Chłopcy zachowywali się normalnie, ale wiadomo, z alkomatem nikt za nimi nie biegał. W każdym razie nic mi nie wiadomo, aby byli nietrzeźwi – kłamał Siewierski. Słowa o alkomacie mógł sobie podarować. – Tak jak państwu mówiłem, ten przykry incydent to wynik użytkowania obiektu niezgodnie z naszym regulaminem. – Podniósł kartkę z wielkim nagłówkiem „REGULAMIN I ZASADY BEZPIECZEŃSTWA”. Przytrzymał, aby fotoreporterzy i operatorzy mogli ustawić ostrość. Dało się słyszeć dźwięk spustu migawki. – Pracownik obsługi nie zdążył zareagować. A chłopcy lekko się, he, he, zapamiętali w rozgrywce. Ja to ich nawet trochę, tak po męsku, rozumiem. Sam często chodzę na lasery z moimi synami, he, he.

Dziennikarze omietli wzrokiem trzymany przez niego regulamin, raczej z obowiązku niż z zainteresowania. Bomba, w postaci wypadku w centrum

rozrywki, którą wczoraj próbował odpalić portal „Gazety Miejskiej”, właśnie okazywała się kapiszonem.

– W takim razie rozumiem, że będziecie państwo dochodzić jakichś roszczeń od rodziców graczy, którzy doprowadzili do wypadku? – dociskał Antosz, barczysty czterdziestolatek z lokalnego radia. Specjalista od spraw kryminalnych, do którego wzdychała połowa dziennikarek w tym mieście.

– Eee, raczej nie – odpowiedział Siewierski. – Jesteśmy ubezpieczeni, wie pan, to jest życie, takie sytuacje się zdarzają. Każdy był kiedyś młody. Cieszę się, że to tylko otarcia...

– Złamania – przerwała mu Gosia z „Miejskiej”.

– I złamania oczywiście. Niestety. No cieszę się, że nic gorszego się nie stało. – Szef centrum zerknął na kartkę, która leżała przed nim. – Oczywiście jako centrum wyciągniemy wnioski, obsługa przejdzie dodatkowe szkolenie, aby i tak podnieść... – Znów zerknął, nie wyglądało to zbyt naturalnie, ale też, umówmy się, był to zwykły Dariusz, a nie zawodowy polityk. – ...aby podnieść i tak wysoki poziom bezpieczeństwa. To pierwszy taki incydent u nas. Po dziesięciu latach bezwypadkowej działalności. Rozmawiałem z chłopcami, odwiedziłem ich rano w szpitalu, nic poważnego im nie jest. Wykonali zresztą bardzo miły gest, sami przeprosili za to, że złamali regulamin. Wysłali nam taką wiadomość na Facebooku, którą się tutaj, za ich zgodą, mogę z państwem podzielić.

Jeden z pracowników Siewierskiego włączył rzutnik i na ekranie za szefem centrum pojawił się screen z portalu społecznościowego. Zdjęcie roześmianych chłopaków z laserowymi karabinami, najwyraźniej wykonane przed rozgrywką. I krótka wiadomość, w której tłumaczą, że poniosły ich emocje i proszą o wyrozumiałość. Nazwiska zamazane, ale tak nieudolnie, że jedno widać.

Kilku dziennikarzy pokiwało głowami, stojąca z boku reporterka telewizyjna dała znać operatorowi, żeby się zawijał. Ktoś tam coś zanotował, Gosia z „Miejskiej” zrobiła zdjęcie telefonem.

– No a teraz, jeśli państwo nie mają więcej pytań, pozwolicie, że się

pożegnam, muszę nadzorować tę małą naprawę w obiekcie. Od weekendu Exxtreme działa normalnie. I oczywiście zapraszamy. – Siewierski wstał i uklonił się. Jeden z fotoreporterów cyknął mu fotę na tle wyświetlanego za nim zdjęcia z licealistami. Wspaniałomyślny szef centrum rozrywki zastygł w tej pozie, starając się wyglądać możliwie życzliwie. Przy jego facjacie nie było to łatwe. I przy jego usposobieniu. Wczoraj, kiedy dowiedział się o wypadku, przez piętnaście minut wściekły opierdalał każdego z pracowników, który się napatoczył. Na szczęście jego syn znał kogoś, kto miał numer do „takiego śliskiego kutasa z grzywką, który potrafi zamieść syf pod dywan”. Więc zadzwonili do mnie od razu. I dobrze, bo czas jest w tym biznesie najważniejszy i zawsze jest go za mało.

– Ta cipa z gazety mnie zagadnęła na korytarzu! – Siewierski wparował na zaplecze piętro wyżej, gdzie spokojnie oglądałem sobie konferencję na monitoringu. – Nagrania chce zobaczyć. Nagrania z kamer! I się pyta, czy kontakt do chłopców mogę dać. Podała mi maila. – Pomachał wizytówką z logo „Gazety Miejskiej”.

– Nie może pan, rodzice pana nie upoważnili. Sama znajdzie przez Facebooka tego jednego chłopaka, którego nazwiska nie zamazaliśmy. A on wie, co ma odpisywać dziennikarzom. Inaczej szkoła i rodzice się dowiedzą, pod wpływem czego się bawili. Mam jego badanie moczu i krwi ze szpitala. Jest tak spietrany, że powie, co ma powiedzieć.

– Dobrze. Dobrze, elegancko. – Siewierski chyba za długo musiał udawać opanowanego, bo teraz zachowywał się, jakby wypił z pięć kaw. – A co z nagraniem?

– Powie pan, że nagrania pan nie może pokazać, ochrona wizerunku i tak dalej. Tylko uprzejmie, nie chcemy jej prowokować. A jakby kiedyś to wypłynęło, to mamy zapis z tych trzech kamer, na którym niewiele widać. A pozostałe, no cóż, nie nagrało się, przykro nam. Wieża rozebrana?

– Tak.

– Wymyte wszystko i wywiezione?

– Jeszcze syn próbuje domyc w jednym miejscu, bo ten z rozwaloną ręką się o ścianę oparł zakrwawiony. Ujebał ją porządnie. A to przy takim fajnym graffiti jest i szkoda...

– Zamalować całe. Teraz.

– Ale to naprawdę szkoda trochę, prawie siedem tysięcy za to dałem, z Warszawy chłopaków do malowania ściągałem.

– Ta babka z „Miejskiej” będzie węszyć. W sobotę chcecie otworzyć z powrotem. To pana decyzja. Ale jak ktoś się wam dobierze do tyłka, to będzie to kosztować więcej niż siedem tysięcy.

– Dobrze już, dobrze – uspokajająco powiedział Siewierski. – Ogólnie to źle nie wyszło chyba, nie? Ta wiadomość z Facebooka to był dobry pomysł, zdjęcia robili, notowali...

– Zobaczymy, co puszczą. Ale nie bardzo mają z czego. Więc faktycznie, źle nie wyszło. Lecę odespać. – Wstałem z krzesła. – Ale jakby się coś działo, proszę dzwonić.

– Jasne, jasne. Dziękuję panu. I zapraszam do naszego centrum. – Szef Exxtreme podał mi rękę. Mokną od potu. Uścisnąłem ją, ale nie ruszyłem do wyjścia. Wiedział, na co czekam.

– A tak, tak, ile to miało być? Za te parę godzin?

– Trzy tysiące. Tak się umawialiśmy.

– Trzy tysiące za jedną nockę... No, młody człowieku, trochę wykorzystujesz sytuację, w której wczoraj byliśmy... – Zmienił nagle ton na protekcyjnalny i pokręcił głową, jakbym był jednym z jego zatrudnionych na czarno pracowników, któremu zaraz bezkarnie potrąci parę stów z wypłaty pod jakimś absurdalnym pretekstem. Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni rulon banknotów. – Wiadomo, że jak się wszystko wali, to się człowiek na wszystko zgodzi. Masz tu, chłopie, dwa tysiące, więcej nie mam przy sobie. Za nockę

u mnie menedżer bierze cztery stówy, a ty byś chciał prawie dziesięć razy więcej zarobić.

Podniosłem tylko brwi. Miałem go za dupka, ale mimo wszystko mnie zaskoczył.

– To słabo płacisz menedżerom – odparłem. – Nic dziwnego, że macie wypadki. Widzisz tego dziennikarza? – Wskazałem na monitoringu szpakowatego reportera, który gramoląc się, jako ostatni wychodził z hallu. – To popatrz teraz. – Wyciągnąłem telefon i wybrałem numer Antosza.

– Panie redaktorze, S. z tej strony, pan jeszcze nie wychodzi, mam dla pana dodatkowe informacje. Na wyłączność.

Siewierski zastygł z grymasem zdziwienia na płaskiej gębie.

– Zaraz zejść na dół, porozmawiamy – dorzuciłem i rozłączyłem się.

– Spokojnie, spokojnie. – Właściciel Exxtreme zaczął machać rękami. – Panie S., no ja tak negocjacyjnie zapytałem, czy nic by się nie dało tam urwać ze względu na sytuację. Ale ma pan rację, umowa to umowa, tu w kasetce powinienem mieć utarg. – Siewierski sięgnął do biurka i podał mi uzupełniony plik pieniędzy, uśmiechając się nieszczercze. Pewnie z tym samym uśmiechem dwadzieścia lat temu wciskał na bazarze staruszkom swetry z Turcji.

– Negocjuje się przed wykonaniem roboty, nie po. Więcej takich akcji i będą ci się tu zaraz rozkładać z wozem transmisyjnym – powiedziałem i wyszedłem.

Nie chciałem spędzić z nim w tej kanciapie nawet sekundy dłużej. Nie chodziło nawet o to, że mnie chciał przyciąć. Ani o to, że drewniana wieża, ta, która się zawaliła, pochodziła z jakiegoś starego placu zabaw spod Łodzi i była zwyczajnie spróchniała. W końcu musiała się połamać i nie była to wina chłopaków, tylko Siewierskiego. I nie chodziło nawet o to, że poza złamaniami jeden z licealistów rozpruł sobie tak ramię, że tylko szybki przyjazd karetki i transfuzja krwi w szpitalu sprawiły, że nie mówiliśmy o ofiarach śmiertelnych. Życie. Na świecie

zawsze pełno było cwaniaków, którzy tną koszty, na czym tylko mogą. Ale w Exxtreme ukrywaliśmy coś grubszego. Że chłopcy, w większości niepełnoletni, byli nawaleni i naćpani. Że alkohol sprzedawał im barman w dyskotecce piętro niżej, też należącej do Siewierskiego. I że sprzedawał im nie tylko alkohol.

Rzuciłem okiem przez okno na klatce schodowej, aby upewnić się, że reszta dziennikarzy już pojechała. Większość mnie kojarzyła, od razu zaczęliby coś podejrzewać, tym bardziej że poszło aż za łatwo. Został tylko Antosz z radia, czekał przy swoim motocyklu. Zszedłem do niego, niech się Siewierski postresuje, widząc naszą rozmowę.

– Te, *easy rider*, nowa bryka? – zapytałem. Nie widziałem wcześniej Antosza na cruiserze.

Podał mi łapę zamaszystym gestem. Zналиśmy się od lat i kumplowaliśmy się. Jego obecność w Exxtreme nie była przypadkowa. Wiedział, o co ma się zapytać na konferencji. Wiedział też, o co nie pytać, i wiedział, że ma się wtrącić, gdyby któryś z dziennikarzy za mocno dociskał Siewierskiego.

– Stary grat! Yamaszka w warsztacie, to wziąłem magnę. Wskakuj, to cię przewiozę.

Antosz łączył szorstką pozę miejskiego macho z niezłym profesjonalizmem i sercem szesnastolatka.

– Tę Gośkę z „Miejskiej” przewieź lepiej.

– Gośka to już mnie kiedyś przewiozła, postoję. Co to za dodatkowe informacje? Mówiłeś, że to pierdoła jest jakaś i tylko nie chcesz, żeby wyszło, że się gościu rozharatał.

– Taaa. Nic więcej nie mam, chciałem klienta postresować, bo zaczął kozaczyć.

– No, niech uważa lepiej, bo mu się zaraz do dupy dobierzemy. Muszę lecieć, stary, złapmy się na jakiś browar w przyszłym tygodniu, co?

– Chętnie, mistrzu. Wiszę ci już chyba ze skrzynkę whisky.

– Daj spokój. Nikt tu nie jest stratny. – Podał mi rękę, po czym założył kask i ruszył z hałasem zdezelowanego tłumika.

W zamian za współpracę podrzucałem Antoszewi co jakiś czas uzgodnione z klientami łakome kąski. I pilnowałem, aby nigdy nie wszedł na poważną minę. Faktycznie nie był stratny.

Zapaliłem davidoffa. Była dwunasta. Zobaczyłem nieodebrane połączenie od Żaboty, adwokata, z którym nieraz współpracowałem. Oddzwoniłem.

– Serwus, Młody! Nową robotę mam dla ciebie – usłyszałem baryton tłustego prawnika.

– Właśnie jedną skończyłem, mecenasie. I spałem dziś niecałą godzinę. Temat nie może poczekać?

– Kurwa, a czy ja kiedyś zadzwoniłem do ciebie z tematem, który mógł poczekać?

Wziąłem macha, wypuściłem dym i ziewnąłem.

– Słucham.

– Dzięki, że mnie tu tak szybko wcisnąłeś. Jak się mogę odwdzińczyć?

– Pozwól, że rozepnę spodnie.

– Spierdalaj.

– Masz rację, S., mógłbym kogoś wystraszyć, za duży kaliber. Więc możesz dla odmiany postawić browara. Tu leją tylko zacne trunki z kraftowych kadzi, niecałe dwadzieścia złotych za szklanekę, co to dla świetnie opłacanego specjalisty od pijaru?

Pablo zarabiał dość podle, pisał w małej agencji teksty na blogi korporacyjne. Ja wytargowałem lepsze warunki, kiedy zaprzedałem swoją duszę diabłu.

– To jest ten bloger? Ten Faluch? – zapytałem, wskazując na młodego hipstera w koszulce z dinozaurem, który właśnie wgramolił się na podwyższenie.

– Ten przyjeb z grzywką?

– Tak.

– To ten.

Pokiwałem głową.

– Czemu ty w ogóle go szukasz? – zapytał Pablo.

– Jeszcze nie wiem. Żabota prosił wczoraj, żebym go namierzył. Wchodzi nam jakieś duże zlecenie. Podobno ziomek szantażuje naszego klienta – dodałem ciszej, żeby nikt nie słyszał.

– On? Ten lamus kogoś szantażuje? – Paweł wskazał na chudzielca z grzywką. – Ile ten wasz klient ma lat, że się go boi, dwanaście?

– Jak płaci, to może mieć i sześć.

Siedzieliśmy w ostatnim rzędzie i obserwowaliśmy scenę, na której śmietanka lokalnej blogosfery przeżyła wirtualne muskuły i urzekła publiczność błyskotliwymi komentarzami i wystudiowanymi uśmiechami. „Blogamist Summit”, tak nazywała się elitarna impreza, na którą zjechali lanserzy z całej południowej Polski. Moim celem był niejaki Maciej Falewicz, autor poczytnej lifestyle’owej strony swiatwedlugfalucha.pl.

Pucołowaty prowadzący w modnym sweterku wręczał mu właśnie mikrofon. Bloger wstał i uklonił się, zarzucając blond grzywą niczym młody lew przed sesją do „National Geographic”. Burza oklasków, widać miał tu poważanie. Zobaczyłem, że na nadgarstku, poza tatuażem w kształcie arbuza, Faluch miał ze trzy kolorowe opaski i jakieś koraliki. Wyglądał, jakby po drodze obrobił przywódcę plemienia Zulu.

– Maćku, wiele się ostatnio mówi o rozbestwieniu blogerów – zagadnął go prowadzący. – Że na przykład coraz częściej za recenzję sprzętu oczekujecie dodatkowych pieniędzy albo że producent zostawi wam ten sprzęt jako prezent...

– Wiesz, za darmo to ja mogę rzucić okiem na laptopa i powiedzieć, że ładny

– przerwał Faluch wysokim, pretensjonalnym głosem.

Śmiech publiczności był tak automatyczny, że przez chwilę zastanawiałem się, czy nie jestem na planie sitcomu.

– Myślę, że blogosfera dojrzała – ciągnął Falewicz – i wielu autorów poznało swoją wartość. Jeśli marka chce się pojawiać na renomowanym blogu, takim, który ma zasięgi i dociera do dobrze sprofilowanej grupy...

Bła, bła, bła. Nie wyglądał mi na szantażystę, choć na cwane go chujka już tak. Kto go tam zresztą wie? Dyskretnie zwymiotowałem z nudów, po czym zacząłem się przyglądać wnętrzu, jak to miałem w zwyczaju.

– Tyle budowali ten hotel, tyle o tym było gadane, że Ameryka, że klasa, że drugi w Polsce po Warszawie – powiedziałem półgłosem do Pablo. – A powiem ci, że wykładziny widziałem takie już w kilku miejscach, to drewno to też było modne, ale parę lat temu. Patio fajne, ale...

– S., jesteś zbokiem. Naprawdę żałuję, że się nie dostałeś na tę architekturę. Przez to teraz muszę tego słuchać.

– Pierdol się.

– Obwiniam siebie. Tak coś kojarzę, że kiedy w szkole wszyscy pożyczaliśmy sobie „Cats” i „Playboya”, ciebie rozpałały rozkładówki z „Muratora”. Powinienem był wtedy porozmawiać z twoim ojcem.

– Ciebie rozpałała pani od polskiego.

– Dolińska była sexy!

Łysy gość w garniaku, który siedział przed nami, zaczął się wiercić.

– Miała triceps jak ja udo. I była trzy razy starsza. Twoja Monia wie, że masz takie odpały? Uważaj, bo cię zostawi.

– Nie zostawi. Dostała pierścionek. To działa jak z przedartą połówką banknotu, teraz zrobi wszystko, żeby dostać drugą połówkę. Czyli obrączkę, królestwo i pół księcia.

– Zaręczyłeś się? – wyrwało mi się nieco za głośno.

Kilka osób zerknęło w naszym kierunku, a łysy odwrócił się i wychylił

w naszą stronę.

– Panowie, mnie naprawdę nie interesują wasze telenowele, idźcie sobie na piwo pogadać, dajcie ludziom słuchać.

– Kolega się zaręczył – odpowiedziałem, jakby to było wystarczającym argumentem.

– W dupie to mam. Zapłaciłem osiemset pięćdziesiąt złotych, żeby się dowiedzieć...

– Strasznieś pan małostkowy – zauważyłem.

– Posłuchaj, cwaniaczku, chcesz o tym porozmawiać na zewnątrz?

– Cisza! – ofuknęła nas jakaś tleniona blondi o urodzie szefowej marketingu z branży spożywczej.

– To ten łysy ciągle jakieś przemówienia wygłasza. – Pablo wskazał na naszego sąsiada. Łysy zaczął wstawać, ale jeden z organizatorów pojawił się przy naszym rzędzie.

– Panowie, to idzie na żywo w sieci, przeszkadzacie. Zaraz wyproszę całą waszą trójkę.

– Chodź na to piwo może – powiedziałem do Pablo i podniosłem się. – Luz, wychodzimy – zwróciłem się do organizatora.

– Wyrzucali mnie z lepszych miejsc – dodał Pablo z teatralnie obrażoną miną.

Dlatego właśnie nie mogłbym na co dzień z nim pracować. Kiedy przyjaźnisz się z kimś od dziecka, praca zawsze schodzi na drugi plan.

Piwo i przekąski były w patio. Zamówiłem kolejkę i stanęliśmy przy jednym z barowych stolików z koktajlowymi kanapkami.

– Gnoju, nic mi nie powiedziałaś!

– Rzadko się ostatnio widzimy – odpowiedział Pablo i pociągnął z butelki z jaszczurką na etykiecie. – Miałem ci wysłać ememesa z pierścionkiem? Niestety, nic od niej nie dostałem, zaręczyny to bardzo dyskryminująca mężczyźn impreza. Skoro już gadamy, zostałbyś moim świadkiem?

Zaskoczył mnie, skubany.

– Jasne. – Podąłem mu rękę. – Gratulacje w ogóle, Monika to świetna babka. Czyli wybrałaś bardziej stonowaną wersję wieczoru kawalerskiego? Gdyby to Junior organizował, Monia mogłaby odwołać ślub.

– Coś ty, Jurek przy Kasi stał się aniołem. Ty teraz jesteś największym jebaką chyba.

– To źle o nas świadczy. – Uśmiechnąłem się i wziąłem solidny łyk kraftowej ropy. Coraz lepsze robią te hipsterskie browary.

– Ty, patrz, władza miesza się z motłochem. – Pablo wskazał na wielki plazmowy ekran, który wisiał w patio. Był na nim widok ze sceny konferencji, to samo musiało lecieć online. Do rozwalonej na fotelach grupy blogerów dołączyło dwóch znanych mi nudziarzy w garniturach. Tadeusz Palacz, szef agencji wspierania przedsiębiorców, i Urzędas, czyli Patryk Lenart. Rzecznik prasowy urzędu, dziedzic z sędziowsko-prokuratorowskiej dynastii, do tego doktorant na jakimś humanistycznym gównie. Prywatnie największa pizda w mieście i mój serdeczny wróg.

– Nasz urząd jak zwykle stara się iść z duchem czasu, stąd mocno wspieramy lokalnych twórców internetowych. Cieszę się, że nawiązujemy współpracę z obecnym tu panem Falewiczem... – perorował z nadętą miną Urzędas, opluwając swoimi kaczorzymi ustami mikrofon tak hojnie, że widziałem to nawet na ekranie. Falewicz kiwał tylko głową z zadowoleniem i po chwili dodał coś o „nowocześnie promującej się metropolii”.

– Tęgo. Widzę, że ten mój Faluch lubi się z kołnierzykami spod ciemnej gwiazdy. Gaworzą sobie jak dwóch harcerzy w tym samym śpiworze – powiedziałem.

– Lenarta często zapraszają. W końcu kieruje teraz całą komunikacją naszego miłościwie promującego się miasta. – Pablo wzruszył ramionami.

– Chuj z nim. Starzy go wcisnęli na to stanowisko.

– To prawda. Ale odpuść, amigo. – Paweł spojrzał mi w oczy. – Bo wyjdzie,

że masz z nim nadal ból dupy. Utrzymujesz jeszcze z nią kontakt? – zapytał.

Wiedziałem, do czego pije. Wszyscy wiedzieli. Moja była narzeczona, Piksi, zostawiła mnie na chwilę dla Urzędasa właśnie. Zanim wyjechała do Stanów. Co gorsza, można powiedzieć, że sam ją pchnąłem w jego oślizgłe ramiona, namówiłem ją, żeby się z nim umówiła dla picu, bo akurat chodziły za mną typki spod ciemnej gwiazdy i uznałem, że w ten sposób będzie bezpieczna. Żałowałem. Każdego dnia żałowałem. Ale Piksi nie pozwalała mi tego naprawić.

– Olewa mnie od kilku miesięcy. Pisałem do niej parę razy. Cisza.

Wziął solidny łyk piwa i znów spojrzał mi w oczy.

– Dziwisz się jej?

– Bynajmniej.

– Trochę dałeś do wiwatu z tą piosenkarką. Która zresztą chyba w ogóle gdzieś wyparowała? Nic o niej ostatnio nie słyszałem.

Nie zamierzałem wtajemniczać Pawła w historię z Fuerteventury ani uświadamiać, że Anja, ukraińska piosenkarka, która wciągnęła mnie w tamtą sprawę, nie żyje. Staralem się nie wracać do tych wydarzeń, jeśli nie musiałem.

– Skomplikowana sprawa.

– Romanse na boku zawsze są skomplikowane.

– Ssij.

Pablo osuszył szklanekę.

– Ty, jak to jest, że mamy po trzydzieści lat i dalej gadamy głównie o dupach i o tym, kto komu zrobi laskę? Co ty w ogóle robisz w ten piątek? Może gdzieś sobie wyskoczmy, rozmawiałem z Juniorem i...

Przerwał mu dzwonek mojego telefonu. Żabota. Odszedłem na chwilę, aby odebrać.

– Muszę lecieć – powiedziałem. – A w piątek? W piątek pewnie będę miał zapierdol przy tym zleceniu, więc najprawdopodobniej wrócę późno i walnę jakieś whisky do lustra.

– No chyba żartujesz...

– W kontakcie! – Zrobiłem gest słuchawki telefonicznej i ruszyłem do wyjścia, zostawiając nieco skołowanego Pablo nad pustą szklanką.

Mecenas Żabota miał pieniądze, jaja, wycucie stylu i duży dystans do jakichkolwiek zasad. Wszystkie te cechy były doskonale widoczne w siedzibie jego kancelarii. U jego kolegów i koleżanek po fachu w roli dumnej misji firmy zdarzało mi się widzieć na ścianach wyświechtane *Ignorantia iuris nocet* czy nieco życzeniowe *Aequitas sequitur legem*. Żabota nie był zwykłym prawnikiem. Nieraz miałem wrażenie, że akurat z prawem poza dyplomem ma niewiele wspólnego. Naprzeciw wejścia do jego kancelarii dumnymi złotymi literami lśnił cytat z nieco zapomnianego polskiego scenarzysty. „W dżungli praw może rozkwitać tylko prawo dżungli”.

– Cześć, Młody – sapnął Żabota, gdy wytoczył się ze swojego gabinetu.

Uścisnąłem jego nieco serdelkowatą łapę i dałem się wprowadzić do środka. Usiadłem na fotelu dla klientów przy wielkim dębowym biurku. Żabota osiadł z drugiej strony.

– Namierzyłeś gościa? – zapytał z miną wąsatego buldoga, który zaraz ma zerwać się do biegu.

– Namierzyłem. Jest na konferencji dla blogerów, Maciej Falewicz, ksywa Faluch. Taki szczuplaczek z grzywką, przed trzydziestką, maksymalnie w moim wieku. Coś tam z miastem współpracuje teraz. Nie wygląda na groźnego bandziora.

Żabota pokiwał głową, jakby przetrawiał moją informację.

– Pozory mylą. Tak twierdzi nasz klient – odezwał się w końcu.

– Co to za klient?

– Międzynarodowa korporacja, polska myśl technologiczna. Producent rozwiązań stosowanych na całej kuli ziemskiej. Od twojego zadania

zależą losy świata.

– Co produkują?

– Śrubki.

Pokiwałem głową. Mogłem się domyślić, kiedy powiedział o polskiej myśli technologicznej.

– Ale temat jest mało zabawny – ciągnął prawnik. – Firmę Tovala znasz?

– Znam – przypomniałem sobie nazwę lokalnego producenta tych metalowych pierdół.

– Jej szef, Staszek Morawski, to mój wieloletni znajomy. I jeden z czterech ludzi w tym mieście, których co roku znajdziesz w top sto najbogatszych Polaków.

– Wiem – odparłem. Nasze miasto tylko pozornie było duże.

– Ma syna.

– Znam. Mówią na niego Marco. Taki śniady.

– Taki kaktus, tak. Po starej, Meksykance. Rozwiodła się ze Staszkiem lata temu, wróciła za ocean, teraz pewnie sobie w brodę pluje. Chuj jej na pueblo, że tak powiem. Nieważne. Ten syn zaimprezował ostatnio i go nagrali. I teraz ten twój bloger Paluch...

– Faluch.

– Faluch, Paluch, bloger, blagier, chuj mu tam na imię. Ten twój Paluch właśnie szantażuje jednego z najbogatszych ludzi w mieście, że nagranie puści do mediów, jeśli mu nie dadzą akcji firmy. Tovala szykuje się do wejścia na giełdę. Więc do dzieła. Zapłacą po...

– Co jest na nagraniu? – przerwałem mu.

Żabota odchylił się na fotelu, odważnie testując wytrzymałość oparcia, i spojrzał na mnie groźnie spod krzaczastych brwi. Przez te parę lat ja nauczyłem się tolerować jego styl, on prawie nauczył się tolerować mój.

– Nie chcesz wiedzieć. A mnie nie upoważnili, żeby cię na siłę uszczęśliwiać. Przyjedziesz do nich jutro na dziesiątą na spotkanie. Prezes sam

ci wyjawi, jeśli uzna za stosowne. Ponoć gość się mści za to, że z nim zerwali umowę na promocję. Zrobiłem ci tam dobry grunt, jak ich do siebie przekonasz, może ci wpaść niezły pieniąż. Dasz radę przypilnować tematu w lokalnych mediach do jutra?

– Jeśli Faluch przyjdzie do jakiejś redakcji i pod nazwiskiem coś powie, to będzie ciężko. Ale jeśli wyśle anonima, jak zwykle szantażyści, to raczej tak.

– Spróbuj. Zapłacą po twojej stawce plus koszty. – Wyciągnął do mnie łapę. Przybiłem. Przyda się, brat coś ostatnio przebąkiwał, że ojciec może wkrótce potrzebować na jakiś zabieg. W jego wieku zdrowie już szwankuje.

– Jeszcze jedno.

– Co znowu? – Żabota zmienił wyraz twarzy na minę znudzonego hipopotama.

– Żądanie akcji, szantaż, to się nie klei z jakimś młodym lamusem z internetu. Skąd wiemy, że nikt za nim nie stoi?

– Młody. Nie wkurwiał mnie. Trzymaj się zakresu powierzonego ci zadania, nie baw się w detektywa.

– No bez jaj...

– Bez jaj stąd zaraz wyjdiesz, jeśli mnie nie posłuchasz. To spółka warta prawie pół miliarda złotych i nikt nie ma czasu na twoje gówniarskie pierdolenie.

– Żabota przechylił się w moim kierunku i oparł łokcie na biurku. Jego stary numer: dobry i zły policjant w jednej osobie. O czymś mi nie mówił. Po tych paru latach powinien już dobrze wiedzieć, że nie lubię działać po omacku.

– Co jest na nagraniach, mecenasie?

– A co ty mi już, kurwa, nie ufasz nagle? – zapytał, nie zmieniając pozycji. Odchyliłem się na oparciu.

– Ufam. Szanuję. Podziwiam. Ale uważam, żeby się w coś nie wjechać. Sam mnie pan tego uczył. Co jest na tym nagraniu?

Westchnął.

– Nie jestem upoważniony, Młody. Jutro pogadamy, w tej Tovali. Na jeden

dzień musi ci wystarczyć to, co wiesz.

Tym razem ja westchnąłem.

– Niech będzie. To do jutra.

– Haniu! – wezwał sekretarkę. – Odprowadź proszę tego mądralę do windy i upewnij się, że nie wróci.

W drzwiach pojawiła się sympatyczna recepcjonistka.

– Chodź, mądralo – powiedziała z uśmiechem.

Mówi Szadi

To tak wyglądało, że on na kogoś czekał, ale nie na nas. Był ze mną jeszcze Bodziu, jak zwykle. Bodziu zabrał lewą policyjną blachę i jak zamachał przez judasza, to ten nas wpuścił. Szef kazał, żeby żadnych śladów zadymy nie było, to my go grzecznie, bajera, nie? Że my funkcjonariusze, antyterrorka, że jest obserwowany, że musimy go przetransportować na inne miejsce. On już cały osrany był, łapy mu chodziły, jak się z nami witał, na wszystko się zgadzał. Szkoda, bo myśmy z Bodziem lubieli przypierdolić, ale jego to aż żal było, blondynek taki, szczypior, po jednej plombie by się złożył. Żaden gangster, nie wiem, po chuj mu było się w to plątać. Szef mówił, że to ćpun pierdolony i tyle.

W samochodzie coś zaczął kminić, że to mało na policję wygląda, bo Bodziu zawsze syf robi w środku, papiery po maku, kurwa, puszki. Tamten się zapytał, czemu nie ma radiostacji. Jak nie odpowiedzieliśmy, to chciał gdzieś dzwonić, wiercić się zaczął. Ja jechałem za kółkiem, cisnę gaz i mówię do Bodzia: „Weź mi go, kurwa, uspokój!”.

Myślałem, że mu klamkę do głowy przystawi czy coś. A ten wziął i człowieka udusił. Normalnie, łapami.

Potem gadał, że go niby chciał tylko postraszyć. Ja Bodzia od dzieciaka znam, to wariat jest trochę. Jakby mu wcześniej ryj obił, toby się wyładował i by tak nie spierdolił potem z tym duszeniem. Bo przecież inny plan był na chłopaka, bardziej dyskretny. A tak to wyszło, że Bodziu

mi go zabił. Ja posprzątałem tylko później.

Mówi S.

Redakcja 91,1FM mieściła się kilka przecznic od mojej chaty, więc nie brałem taksówki. Spacer nie powinien zająć mi więcej niż dziesięć minut. Przedzierałem się przez labirynt ponemieckich kamienic i zastanawiałem się nad strategią, jakiej użyję, aby nie dopuścić do publikacji kompromitującego Morawskich nagrania. Jeśli rzeczywiście znajdowało się w przesyłce.

Parę godzin po wyjściu od Żaboty i obdzwonieniu kilku znajomych pismaków dostałem cynk. Nieoceniony Antosz dowiedział się od realizatora z konkurencji, że w 91,1FM ktoś podrzucił podejrzaną kopertę.

ANTOSZ RADIO:

nie wiem, co to jest, na dyżurze siedzi jakaś głupia cipa. była zmiana na ochronie i nowy cieć zaniósł to do niej zamiast do mojego ziomka. chyba jeszcze nie otworzyła. jak to coś ważnego, to lepiej tam jedź

JA:

Ratujesz mi dupę mistrzu!

ANTOSZ RADIO:

ratowanie dup to moje hobby

Spojrzałem na zegarek, było tuż przed północą. W radiu siedział pewnie jakiś smutas puszczający po nocy Stinga z Anną Marią Jopek, ten zaprzyjaźniony realizator, ochroniarz i kończąca pracę redaktor dyżurna *vel* „głupia cipa”. Niestety wiedziałem która. Nie dalej jak tydzień temu bajerowałem ją jako specjalista od marketingu, żeby odwrócić jej uwagę od ustawionego przetargu, który zorganizował mój kumpel z uniwerku. Ida Cupiał. Redaktorka

o przyjemnym głosie i nieprzyjemnym zwyczaju spływania tematów, byle tylko było wystarczająco historycznie. No bo słuchalność i takie tam.

Wlepiłem nos w komórkę, żeby za pamięci sprawdzić ofertę Exxtreme. Skoro zostałem świadkiem Pablo, to z nieśmiertelnej triady wieczorów kawalerskich – „wódka, dziwki i lasery” – zamierzam zapewnić choć pierwsze i trzecie.

Nie zorientowałem się nawet, że dotarłem na miejsce.

Pod bramą kamienicy, w której mieściła się redakcja, stało dwóch koleżków, sądząc po stroju, zagorzałych fanów lokalnego klubu piłkarskiego. Biedni masochiści.

– Ty, kierownik, masz piątkę na browar? – zagadnął mnie wyższy i chudszy. Sądząc po uzębieniu: albo unikał dentysty, albo często dostawał po ryju.

– Nie mam. – Próbowałem się przepchnąć do bramy, ale drugi, krępy, trącił mnie ręką, w której zresztą trzymał puszkę z piwem.

– Co się pchasz, kurwa? Jak nie masz? W ryj nie chcesz?

– Dawaj, kurwa. – Odwróciłem się do niego. – Pod samym monitoringiem miejskim. – Wskazałem mu na kamerę na ulicznej latarni. – Dzwonić po psiarnię, żeby ci pokibicowali?

Spojrzał w kierunku kamery.

– A dzwoń se, kurwa, gdzie chcesz – odpowiedział, ale spuścił z tonu.

– To dzwonię. – Wyciągnąłem telefon i wbiłem 997.

– Ty, dobra, już. – Podniósł łapy w geście przeproszenia.

– Żartowaliśmy tylko – odezwał się chudszy. – Chodź, Jaro.

Wyszli z bramy. Usłyszałem tylko „dojebię cię jeszcze”, ale rzucone z bezpiecznej odległości dziesięciu metrów. Dobrze, synku, dojedziesz. Tępe chuje. Pchnąłem secesyjne, obdrapane drzwi i znalazłem się na śmierdzącej moczem klatce schodowej. Była minuta po północy.

W kamienicy radio wynajmowało dwa piętra. Portier kimał, zdążyłem dwa razy wypukać w szybkę „We Will Rock You”, zanim nawiązałem z nim kontakt

i nakłoniłem go do wpuszczenia mnie do środka. W korytarzu redakcji spotkałem zasuszonego czterdziestolatka nakładającego kurtkę. Skinął na mnie, po czym domyśliłem się, że to on jest przyjacielem Antosza. Uścisnął mi dłoń i oglądając się wcześniej za siebie, rzucił:

– Jesteś S., tak? Dobrze trafiłeś. Ida jest w studiu, nadaje serwisy. Koperta leży na jej biurku w newsroomie, nieruszona. Aż się zrobiłem ciekaw, co tam jest, skoro tyle z tym zabawy?

– Zdjęcia z wakacji. – Mrugnąłem okiem.

– W Juracie?

– Pewnie. Tutaj? – Wskazałem na niedomknięte drzwi na końcu korytarza. Realizator pokiwał głową, ruszyłem przed siebie, rzucając jeszcze w locie podziękowania i obietnicę przesłania podziękowań w formie płynnej.

Ostatni raz byłem w redakcji 91,1FM dwa lata temu, zajmowali wtedy tylko jedno piętro. Później przejęli zdychające lokalne radio i stali się drugą co do słuchalności stacją w regionie. Newsroom był dość duży, jakieś dwanaście stanowisk w ciasnych boksach; open space oświetlany przez migające na dwóch wielkich plazmach kanały informacyjne. Na prawie każdym biurku panował bałagan, głównie stosy papierów powtykanych do kuwet, pod klawiatury i za monitor, podociskane gdzieś tam kubkami z niedopitą kawą, w których zaczynały już się pojawiać nowe formy życia. Zlokalizowanie śmietnika należącego do Idy zajęło mi chyba z minutę, w końcu pod stosem wydruków znalazłem szarą kopertę formatu A4. Nie była otwarta. „Ida, Ida, tępa dzida” – zanuciłem pod nosem z satysfakcją. Schowałem kopertę i odwróciłem się w stronę drzwi. Ida stała w progu.

W tych swoich grubych okularach na wydatnym nosie i krótkich włosach przypominała mi zawsze przemądrzałą sowę z kreskówki albo harpię, zależnie od nastroju. W tym momencie zdecydowanie była to harpia. Wkurwiona harpia. Celowała we mnie długopisem niczym wielkim szponem.

– Co pan tu robi?

– Dobry wieczór. Kolega miał mi coś zostawić w redakcji, wracałem z imprezy i pomyślałem, że zahaczę.

– Na moim biurku?

– To pani biurko?

Podeszła zdecydowanym krokiem. Cofnąłem się w kierunku drzwi, przyciskając ramieniem szarą kopertę, którą miałem pod kurtką. Oczywiście zaczęła od pochwylenia w szpony sterty wydruków, spod których przed chwilą wyciągnąłem przesyłkę.

– Tu coś leżało. Teraz tego nie ma. Wzywam ochronę. I dzwonię na policję.

– Spokojnie, pani Ido. To przesyłka, która miała trafić do mojego kolegi, ale ten baran na portierni niepotrzebnie zaniósł ją do pani. Pewnie myślał, że to jakiś donos. Pomylił się, mój kurier na pewno mu powiedział, do kogo z radia to jest zaadresowane.

Spojrzałem jej w oczy, starając się wyglądać możliwie szczerze. Nie sprawiała wrażenia przekonanej. Pora na plan B. Słyszałem o niej to i owo, wiedziałem, że możemy pertraktować.

– Siłą mi pani tego nie wydrze. A jeśli wezwie pani policję, oni zabezpieczą przesyłkę, ja zeznam to, co powiedziałem, a nadawca to potwierdzi i mój kolega również. Na kopercie nie ma pani nazwiska ani żadnego adresu, wyjdzie pani na idiotkę.

– Ale pan kłamie.

– Z tego żyję. Dla policji zabrzmiałoby prawdopodobnie, co? Za uwierzenie w tę wersję proponuję pani premię: dwa tysiące złotych. To byłoby dobre zakończenie czwartkowego dyżuru, prawda? Dwa tysiące zarobione w ciągu paru minut.

Jej harpiowata natura wzięła górę nad dziennikarską uczciwością, jeśli kiedykolwiek uczciwość miała w jej sumieniu cokolwiek do gadania.

– Wyjdźmy na papierosa, S. Tu są kamery, na szczęście dla ciebie bez fonii, sam obraz.

Parę lat przed trzydziestką zaczyna się ten trwający prawie dekadę okres,

kiedy używanie form grzecznościowych zdaje się zupełnie losowe. Nieraz ktoś starszy ode mnie tytułował mnie panem, gdy z kolei studiujący gówniarze potrafili jeszcze czasem zwrócić się na ty. Ida wydawała mi się parę lat starsza, ale mogła to być wina okularów i dość oficjalnego stroju. W każdym razie moją korupcyjną ofertę potraktowała jako bruderszaft.

Palarnia mieściła się na półpiętrze, jej teren wyznaczały przypalone plamy na linoleum i stojący w rogu chromowany, lekko poobijany kosz z popielniczką. Wyciągnąłem z kieszeni davidoffy, ale Ida wolała swoje cienkie fajeczki, bodajże vogue.

– Mówisz trzy tysiące? – zaczęła, kiedy zaciągnęła się papierosem.

– Dwa i pół?

– Trzy tysiące, tyle tu dają podstawy. Jeśli za oddanie ci tej koperty dostanę drugą pensję, uznam to za dobre zakończenie wieczoru i wystarczający argument, aby uspić moją reporterską czujność. Masz przy sobie gotówkę?

Miałem. Po drodze do redakcji 91,1FM odwiedziłem bankomat, na wypadek gdyby szantażysta zaczął działać. Ale chciała za dużo. Już dwójka była dowodem na moją szczodrość, koniec końców faktury mi nie wystawi, a Morawski z Żabotą mogą nie chcieć zwrócić tego kosztu.

– Mam. Ale trzy tysie to trochę sporo.

– Sporo, ale może w kopercie kryje się coś, co jest warte znacznie więcej, skoro przyjechałeś tu o północy.

– A może nie kryje się tam nic ciekawego.

– W takim razie oddaj kopertę i zapomnijmy o sprawie. – Uśmiechnęła się chytrze i znów zaciągnęła się fajką. – Trochę jak w teleturnieju, co?

Wyciągnąłem portfel i bez słowa odliczyłem trzy kafle. To było prawie wszystko, co miałem przy sobie. Oby szef Tovali nie okazał się kutwą.

– Miło się z panem robi interesy, panie S. – powiedziała, chowając zwitek do kieszeni. – Tak się mówi w takich sytuacjach? – zapytała, siląc się na niewinną minę, ale miała w sobie tyle niewinności, co emerytowana

burdelmama. Nawet nie przeliczyła.

Nie chciałem otwierać koperty przy niej, choć paliła mnie ciekawość. Jeśli w przesyłce było nagranie, takie samo mogło pojawić się w jednej z kilkunastu pozostałych lokalnych redakcji. Zwłaszcza w tabloidach.

Pożegnałem Idę, życząc jej w duchu rychłej kontroli skarbowej, i szybko wyszedłem z budynku w kierunku postoju taksówek. Ulica była pusta. Wyjąłem kopertę. Wymacałem płytę i jakiś papier.

Otworzyłem. Złożony na pół plik kartek został opatrzony tytułem, który mógł wywołać mokry sen u krócej ostrzyżonej części społeczeństwa. Pogrubiona czcionka dumnie zachęcała do lektury „Listy Żydów Polskich (aktualizacja!!)”. Zerknąłem do środka, choć wiedziałem już, czego się spodziewać.

„Aby bez żadnej wątpliwości rozpoznać Żyda, należy posłużyć się numerem PESEL. Obecność dziewiątek oraz symetria w pięciu ostatnich cyfrach...”, „Przedstawiciele dzisiejszych elit, jak na przykład Jarosław Kaczyński (prawdziwe nazwisko: Kalkstein), Adam Michnik (Aaron Szechter), Janusz Korwin-Mikke (Ozjasz-Goldberg)...” i tak dalej. Do tego dwie agitacyjne ulotki i płyta z jakąś niezależną produkcją, która bezsprzecznie udowadnia, że Polską rządzi żydowski spisek. Sięgnąłem głębiej i wyciągnąłem jeszcze pismo przewodnie, pisane odręcznie, pod którym swe dane do wiadomości redakcji pozostawił niejaki Hieronim L.

Niech to chuj strzeli. Wrzuciłem kopertę z całą zawartością do kratki ściekowej, czego zaraz pożałowałem, bo przynajmniej pokazałbym Morawskiemu, na co wydałem pieniądze.

Kiedy wchodziłem do mieszkania, była już pierwsza. Odpaliłem laptopa i zajrzałem do żółwia, który latał po akwarium, zamiast spać, pewnie dlatego,

że nikt nie wyłączył mu lampki UV. Nie miał kto, mieszkałem sam. Sztuczne słońce, dla śmierzdiela wciąż trwał dzień. Zgasilem żarówkę nad akwarium, rzuciłem mu szczyptę suszonych krewetek i usiadłem przy biurku. Byłem kurewsko zmęczony.

ANTOSZ RADIO:

Udało się? to było to, co myślałeś?

JA:

Chuja tam. Lista Żydów Polskich. Mogłem Ci zostawić

ANTOSZ RADIO:

Znam na pamięć ;)

Wiadomość od Antosza wyrwała mnie z zamyślenia. Późno kładł się spać, skurczybyk. Zapisałem sobie na fiszce, żeby kupić chłopakom z radia po flaszce za czujność.

Ruszyłem do kuchni, żeby nastawić wodę, po chwili doniosłem dwie buły i kilka kabanosów. Wszedłem na swiatwedlugfalucha.pl, po czym w wyszukiwarkę na stronie wstukałem „Tovala”, by sprawdzić, na czym polegała współpraca producenta śrubek z lifestyle’owym blogerem. W odpowiedzi dostałem długą listę wpisów, jedno wideo miesięcznie, wrzucane przez ostatnie półtora roku. Ostatni sprzed dwóch miesięcy. „Jak zamontować żyrandol?”, „Jak zbudować taras?” i tak dalej. Głównym bohaterem każdego odcinka był wykorzystywany do pracy asortyment Tovali. Niegłupio wymyślone. Faluch mógł być wkurwiającym chujkiem, ale swoją robotę wykonywał porządnie. Tym bardziej nie kleiło mi się to z pomysłem szantażu. Nie miałem już jednak siły na główkowanie.

Na szczycie strony świeże info, jeszcze z dziś, o nawiązanej współpracy

z miastem. I fota z Urzędasem. Spojrzałem na jego kaczorzą gębę i od razu podniosło mi to ciśnienie. Pojawiły się wspomnienia. Odruchowo sięgnąłem do szuflady.

Wyciągnąłem z niej oprawione w ramkę zdjęcie z wakacji w Grecji. Jeszcze niedawno stało na biurku. Piksi i ja, uśmiechnięci, w tle plaża i morze. Parę tygodni po zaręczynach. Pamiętałem rozmowę, jaka nastąpiła po wykonaniu tego zdjęcia.

– No, będzie do albumu rodzinnego. Pierwsze wspólne wakacje – ucieszyła się.

– Twoi starzy chcą mieć moje zdjęcie w albumie?

– Spadaj. Do naszego albumu rodzinnego. Wrzucam na fejsika. Otaguję cię.

– Uuu, *serious shit*. Nie ma sensu mnie tagować, zresztą przecież mam tylko fejkowe konto.

– Które znają wszystkie twoje koleżanki. Nie chcesz sobie palić mostów, co? I co to za *serious shit*?

I foch do kolacji. Ale ogólnie to był fajny wyjazd, chyba nasze jedyne wspólne wakacje. Jakoś nigdy nie było czasu na więcej, robota.

Teraz, od tej akcji z Fuertą, nasz związek nie istniał, choć spotkaliśmy się przecież jeszcze raz i poszliśmy do łóżka, więc myślałem, że znów będzie po staremu. Rano zostawiłem ją śpiącą, wezwany przez klienta, u którego na cito trzeba było coś odkręcać. Gdy po wykonaniu zadania wróciłem do mieszkania, po Piksi nie było śladu i nie odbierała telefonu. Przez trzy miesiące, póki nie dowiedziałem się, że wyleciała do Stanów na stypendium i zmieniła numer.

Podszedłem do czajnika i jeszcze raz go włączyłem, do kubka obok wrzucając torebkę rooibosa. Tęsknym spojrzeniem obrzuciłem galeryjkę bourbonów, ale wiedziałem, że jeśli zacznę z łychą, nie skończy się na jednej szklance.

Faluch. Jego zachowanie nie dawało mi spokoju. Na moje oko ten gość miał może dość jaj, żeby wepchnąć się do kolejki na pocztę, ale nie żeby szantażować

szefa dużej firmy. Ktoś musi za nim stać. Może ten syn Morawskiego? Pamiętałem, że lubił zaimprezować, może skończyły mu się pieniądze.

W pewnym momencie zorientowałem się, że stoję oparty głową o ścianę salonu, jakbym chciał siłą karku przesunąć mur o kilka centymetrów. Znowu to robiłem. Uśmiechnąłem się do siebie i wyobraziłem, że przez otwarte drzwi sypialni widzę Piksi, dokładnie tak jak kiedyś. Rozbawiona, pyta, czy nie boję się, że przebiję się głową do sąsiadów. Ja podchodzę do niej, mówię, że zamknę jej drzwi, żeby mogła spać. Ona wyciąga do mnie ramiona i prosi, żebym położył się obok, jutro rano na pewno przyjdzie mi do głowy rozwiązanie. A ja posłusznie zamykam laptopa i wskakuję do łóżka, by poczuć zapach jej świeżo wykąpanego ciała. Wtulam się w nią, a po chwili ona wykopuje mnie z łóżka pod prysznic. Ocknąłem się z marzeń i stwierdziłem, że mogę wprowadzić w życie część jej wymyślonych rad. Iść spać. Piksi nie ma, więc prysznic wezmę rano.

Mówi Piksi

Wysłałeś mi już chyba z siedem maili. Pytasz, czy to nie jest tak, że nie doszły, może coś z pocztą, może nie odbieram z polskiego maila? Odbieram. Czytam. Po prostu ci nie odpisuję.

Pytasz, dlaczego nie wróciłam do ciebie po tej całej sytuacji, kiedy kazałeś mi umawiać się z Patrykiem, żeby mnie nie szukali, kiedy ty miałeś problemy z gangsterami? Przeczytaj jeszcze raz te swoje pytania, podobno jesteś inteligentny.

W porządku, widzę tu też nieco mojej winy. Patryk do mnie startował regularnie, zaczepiał, jak to niektórzy młodzi wykładowcy. Trochę się z tego śmiałam, trochę mi to schlebiało, w każdym razie nie o wszystkim ci mówiłam. Wydaje mi się, że przy tych wszystkich twoich zauroczeniach i prawie romansach, których jak myślałeś, ja, głupia studentka, nie widzę, i tak byłam bardzo fair. Ale kiedy powiedziałaś, żebym umówiła się z Patrykiem, bo ty sobie wymyśliłeś taką genialną mistyfikację, już go nawet lubiłam.

A potem polubiłam go jeszcze bardziej – im bardziej widziałam, że cię to denerwuje. Polubiłam go za to, że go nienawidzisz. Ale też za to, że ciągle nosił mnie na rękach. Że pokazał mi, że ja jednak zasługuję, żeby ze względu na mnie coś zawalić w pracy, i że facet może mieć ochotę co weekend gdzieś wyskoczyć z dziewczyną. A nie tylko od święta, jak akurat nie jest wypompowany po pracy. Na łódkę, na narty, w góry, zwiedzać zamki w Saksonii...

Tak, oczywiście, że kochałam cię dalej, i właśnie dlatego zostałam przy Patryku. Wiedziałam, że się nie znosicie, ale wierz mi, to było nic w porównaniu z tym, jak bardzo ja cię wtedy nienawidziłam. Czułam się zdradzona. Więc uwierzyłam Patrykowi w to, co mi o tobie nagadał, bo chciałam mu uwierzyć. Żeby łatwiej od ciebie odejść. Bo tak naprawdę nie chodziło mi tylko o tę jedną sytuację, kiedy na zdjęciach cały kraj i wszyscy moi znajomi mogli zobaczyć, jak się miziasz na plaży z jakąś gównianą piosenkareczką. Choć to oczywiście bolało, bardzo bolało, ty dupku. Ale z perspektywy czasu widzę, że ważniejsze było, że z tobą nie miałam przyszłości. Miałam pierścionek. Kilka szuflad w szafach w twoim mieszkaniu. Tyle. Żadnych planów, o których chciałbyś ze mną rozmawiać. Sam wiesz, ile razy próbowałam i ile razy zbywałeś mnie jakąś debilną wymówką, jakbyś nie przyjmował do wiadomości, że pary czasem planują wspólne życie. Wyobraź sobie, że tak bywa u normalnych ludzi.

Później, kiedy już trochę ochłonęłam, zorientowałam się, że Patryk mną manipuluje. Zaczął też mieć te swoje ciągle mazgajstwa, do których nie miałam cierpliwości, tu akurat miałeś rację, że jak się coś poważniejszego dzieje, to on biegnie z płaczem do starych. Zaplanował dla mnie rolę w tej ich sędziowskiej dynastii, a ja chciałam wreszcie żyć własnym życiem. Nie życiem rodziny Lenartów, nie życiem ładnej maskotki jaśnie pana S. Tylko swoim, w końcu swoim. Pojawiła się okazja i poleciałam do tych Stanów. Żeby zapomnieć. Trochę o nim, bardzo o tobie. Niestety, nie zapomniałam.

A ty nagle zacząłeś tęsknić, pisać do mnie co tydzień. I z tych twoich maili i wiadomości zaczął się wyłaniać wizerunek wielkiej miłości i wspólnego życia.

Szkoda, że wcześniej nie byłeś w stanie nawet zaplanować ze mną wakacji z dwumiesięcznym wyprzedzeniem. Nie mówiąc o jakiegokolwiek dacie ślubu, choćby mglistej.

Dużo się od tego czasu u mnie zmieniło. Tutaj jest inaczej. Inne życie, inne tempo. Ludzie mają trochę inne wartości i możliwości. Kiedy przyjeżdżałam, to choć w planie miałam zostać tu na zawsze, w te pierwsze samotne wieczory wiedziałam, że się oszukuję. Bo czułam, że mimo odległości, czasu i tego krótkiego romansu z Patrykiem moje serce nadal bije dla jednego blond dupka i niewiele jestem w stanie z tym zrobić.

Tylko że dzisiaj już nie wiem.

Pisałeś i piszesz, jakbyś liczył, że nadal wystarczy twoje klaśnięcie w dłoń, a ja się spakuję i przylecę z powrotem.

Na dużo liczysz, S.

Mówi T.

Piksi. Gdyby jakiś stojący z boku badacz sprawdził zachowanie S., kiedy rzeczywiście Piksi była obok niego, okazałoby się, że statystycznie średnio po dwudziestu minutach zaczynały go dręczyć wątpliwości, czy to rzeczywiście osoba, z którą chce spędzić resztę życia. Nie zmienia to faktu, że związek z jego wyobrażeniem o Piksi układał mu się znakomicie, zwłaszcza od czasu ich rozstania.

Przeciwieństwa lubią się przyciągać. Dość zdrowe podejście Piksi, okraszone kilkoma typowymi dla kobiet kompleksami, można by porównać do wczesnowiosennego nieba, które niepewnie, ale jednak rozdaje wszystkim równo światło i pogodę. Niebo S. było burzą. Przytłaczające cumulonimbusy i często uderzające błyskawice, które choć potrafią załsnąć mocniej niż wiosenne słońce, biorą swe źródło w ciemności i w ciemność odchodzą. W każdym wejściu S. na arenę, w każdej jego brawurowej akcji lśniła taka błyskawica, a w każdym jego samotnym powrocie były pustka i ciemność, urozmaicone jedynie przez

milknące echa dawnych dokonań. Może dlatego tak bardzo potrzebował, by na co dzień ktoś rozjaśniał jego duszę swoim światłem. I zarazem tak bardzo o to nie dbał.

Takie jest dzisiaj moje spojrzenie na to, co ich łączyło. Mogę się mylić. Nie jestem obiektywny.

Mówi S.

Piątek był upalny. Całe pięć stopni w słońcu. 22 marca, polska wiosna roku Pańskiego 2013. Jechałem do Tovali, drąc się do kawałka Alice in Chains w taki sposób, że gdyby Layne Staley zmartwychwstał i usłyszał moje wykonanie, poprosiłby o możliwość natychmiastowego powrotu pod ziemię. Siedziałem za kierownicą swojego volkswagena CC, zrywając do galopu wszystkie sto sześćdziesiąt koni na miejskiej obwodnicy, żeby zdążyć na dziesiątą. Staley zaś śpiewał o życiu w kłamstwie i samotnej walce. Nie pamiętam, czy kiedy pisał ten kawałek, był akurat czysty czy znów na równi pochyłej, po której spychała go w dół heroina. Nigdy nie rozumiałem, czemu tylu geniuszy spala się w nałogach, gdy tylko zaczną osiągać to, do czego dążyli. Paradoks.

Zanim zaparkowałem pod pokraczynym żółtym biurowcem, zwiedziłem chyba wszystkie parcele w sąsiedztwie Tovali. Przy hurtowni majtek pokierowano mnie do fabryki leków, przy fabryce – do kryjących się za zasiekami biur jakiejś zbrojeniówki. A w firmie zbrojeniowej lekko skacowany portier odesłał mnie do diabła. Na szczęście obok dojrzałem dumnie sterczące maszty z żółtymi flagami producenta śrubek i niebieskim logo, w którym literę „T” ktoś wybitnie kreatywny zastąpił wkrętem z kołkiem rozporowym.

Przeszedłem przez obrotowe drzwi i szeroko uśmiechnąłem się do trzech młodych recepcjonistek. Blondynka, brunetka i szatynka, wszystkie ładne,

opalone i wydekoltowane. „Nasza firma stawia na młodość i różnorodność, łącząc to z tradycyjnym przywiązaniem do dużych piersi” – mogliby napisać w prospekcie.

– Dzień dobry, jestem z firmy CSR Advisors, byłem umówiony na spotkanie z panem prezesem.

– Oczywiście, proszę sobie usiąść i chwileczkę poczekać. – Szatynka wskazała mi jasną skórzaną kanapę. Wnętrze hallu prezentowało się lepiej niż sam budynek widziany z ulicy. Chrom, beżowa skóra, drewno wenge: trochę wioska, ale było widać, że w tych śrubkach są pieniądze. Wziąłem ze stolika magazyn pracowniczy, który ktoś bardzo dowcipny nazwał „Wkręty i Nity”. Nie zdążyłem zatopić się w świecie tych metalowych cholerstw, kiedy szatynka podeszła do mnie, dzierżąc w dłoni firmową smycz z plakietką „GOŚĆ”.

– Dobrze, proszę za mną, prezes już czeka – powiedziała i poprowadziła mnie do windy. Przy czujniku wykonała jakieś magiczne gesty kartą magnetyczną, po czym otworzyła przede mną wrota na śrubkowe salony, wcisnęła przycisk z czwórką i z prawie matczyną troską wytłumaczyła, jak mam znaleźć gabinet prezesa. Myślałem, że jeszcze ucałuje mnie w czoło na drogę.

Wysiadłem na ładnie oświetlonym korytarzu, piętro zarządu było jeszcze bardziej dopieszczzone niż hall. Szedłem powoli i z zaciekawieniem przyglądałem się wiszącym na ciemnej boazerii dyplomom i certyfikatom. Przy podświetlonych gablotkach ze złotymi śrubkami w środku i tabliczkami „Gwint Roku” ledwie udało mi się stłumić parsknięcie.

Ściana pełniła rolę firmowej *wall of fame*. Ze względu na dość krótką historię firmy w centralnym miejscu widniały tylko dwa portrety szefów. Szeroko uśmiechnięty, wyglądający na Skandynawa blondyn, Tom Valla, z dopiskiem: „CEO (1993–2002)” i szczupły siwy mężczyzna po pięćdziesiątce: „Stanisław Morawski CEO (2002–obecnie)”. Czyli ten, który zdecydował się mnie wynająć. Zacząłem się rozglądać, czytając napisy na tabliczkach drzwi, kiedy jedne z nich nagle się otworzyły.

– Problemy z orientacją, panie S.?

Pytanie zadała mi kobieta. A raczej: bogini. A raczej: korpobitch w najlepszym tego słowa znaczeniu. Długonoga, kociooka brunetka w seksownym biurowym uniformie. Uczciwe dziewięć na dziesięć. Szczerze tęskniłem za Piksi, ale jeśli dorzucą mi do wynagrodzenia numer telefonu tej kotki, mogę sporo zejść z ceny.

– Żadnych. – Uśmiechnąłem się, jak umiałem najlepiej, i ruszyłem w kierunku gabinetu prezesa.

„BeataHawroDyrektorMarketingu”, bo tak mi się przedstawiła, wyciągnęła do mnie dłoń. Uścisnąłem ją, na co dała mi mniej niż pół sekundy, po czym szybko cofnęła rękę, abym nie mógł splamić jej moim plebejskim dotykiem. Wprowadziła mnie do środka przez mały sekretariat.

W lekko przyciemnionym gabinecie o powierzchni przeciętnego polskiego mieszkania, przy dębowym stole konferencyjnym siedzieli już Żabota i siwy elegancki mężczyzna. Prezes Tovali patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem, niczym drapieżne zwierzę w rogu klatki w zoo. Świadome, że gdyby nie fizyczne przeszkody, intruzi nie mogliby się tak beztrąsko przechadzać po jego terenie. Siedział na wózku inwalidzkim.

– Morawski. – Podniósł prawą rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie. Miał czysty, mocny głos i równie mocny uścisk dłoni. Patrzył mi prosto w oczy i gestem wskazał miejsce przy stole. Mimo wózka i skromnej postury w pełni panował nad sytuacją.

– Jest pan bardzo młody – zaczął Morawski, kiedy usiadłem, taksując mnie spojrzeniem, jakby oceniał maszynę pod kątem przydatności na linii produkcyjnej. – Andrzej, kiedy mówiłeś, że współpracujesz z młodym specjalistą, spodziewałem się kogoś po czterdziestce – zwrócił się do Żaboty.

– Od dziesięciu lat pracuję w branży, myślę, że to się liczy – wtrąciłem. Nie lubiłem, gdy wypominano mi młody wiek. Zwłaszcza że siedząca obok miss korpo wyglądała maksymalnie na moją rówieśniczkę. – Ale rzeczywiście

mam dopiero trzydziestkę.

– Dziesięć lat doświadczenia to ładnie – łaskawie zgodził się król śrubek. Zauważyłem, że jego elegancki krawat szpeci spinka w kształcie kołka rozporowego. Widać brzydkie logo firmy zobowiązuje. – Jakieś doświadczenia z firmami giełdowymi? – dopytał.

– Trzy razy. W Warszawie, na północy i u nas. Szczegółów nie mogę podać. Morawski pokiwał głową. Żabota chrząknął, uważał *small talk* za stratę czasu.

– Mam syna w pana wieku, ale niestety nie poświęcił ostatnich dziesięciu lat na pracę – dodał Morawski bardziej do siebie niż do mnie. – Zaraz do niego wrócimy. Mam małą prośbę. Proszę zostawić w pokoju obok wszelką elektronikę.

Czyli zaczynamy rozmawiać. Podniosłem się, obszedłem stół i otworzyłem boczne drzwi. Moim oczom ukazała się biblioteka: kilka dostojnych dębowych regałów wypełnionych książkami i segregatorami oraz dość okazała szafa pancerna. Opierała się o nią druga szafa, łysa, na oko czterdziestoletnia, w czarnej obcisłej koszulce i z tatuażami na umięśnionych ramionach. Jeden z nich zwrócił moją szczególną uwagę, ale nie mogłem sobie przypomnieć, skąd go kojarzę. Kiedy wszedłem, łysa szafa ruszyła się i bez słowa odebrała ode mnie telefon i zegarek, aby umieścić je w leżącej na stoliku kasetce.

– Młody namierzył wczoraj tego waszego szantażystę – zaczął Żabota, kiedy wróciłem do stołu. – I obstawił lokalne redakcje, prawda? – Spojrzał na mnie.

– Prawda – odparłem. – W jednym radiu wczoraj w nocy ktoś podrzucił jakiś anonim, ale to nie było nic związanego ze sprawą. – Oszczędziłem im szczegółów na temat Listy Żydów Polskich, nie ma co robić z siebie na wstępie idioty. Zwłaszcza że kociooka dyrektor marketingu zaczęła mi się z zaciekawieniem przyglądać.

Morawski pokiwał głową.

– Wiem, że Andrzej wprowadził już pana w szczegóły. Jaki ma pan plan?

– Zwykle poza obstawieniem redakcji zacząłbym od próby wywarcia jakiegoś ekonomicznego nacisku, wydajecie państwo jakieś pieniądze na reklamę w mediach...

– Jesteśmy jednym z największych reklamodawców w regionie. Obdzwoniłam już naczelnych i szefów sprzedaży, prosząc o aktualne cenniki i sugerując, że szykujemy dużą kampanię. – Kotka z marketingu wtrąciła się takim tonem, jakbym uchybił powadze ich firmy i jej stanowiska. Poprawiła jeszcze do tego okulary, jakby chciała podkreślić, że nie siedzi tu tylko ze względu na ładną buzię. *Nice try.*

– No właśnie – ciągnąłem. – Ale przede wszystkim, póki nic nie poszło do mediów, próbowałbym zablokować szantażystę. Wszystko jednak zależy od tego, kto nim jest. Tak jak wspominałem wczoraj mecenasowi Żabocie, moim zdaniem sprawa nie jest taka prosta, zwykły bloger...

– Moim zdaniem jest prosta – przerwał mi Morawski. – Ten bloger szantażuje mojego syna pewnym nagraniem, a pan ma udaremnić jego publikację. To proste.

Westchnąłem ciężko. Klienci wiedzący lepiej to najgorszy gatunek. Ale zawsze najlepiej się na nich zarabiało.

– Okej. Rozumiem. Co jest zatem na tym nagraniu? Trudno mi rozmawiać z szantażystą, jeśli nie wiem, co ma w kartach.

Morawski zasępił się na chwilę. Żabota spojrział w stronę Beaty, jakby chciał zasugerować jej, aby wyszła. Ta jednak siedziała niewzruszona jak modelka podczas biznesowej sesji zdjęciowej. Kto wie, może zresztą kiedyś była modelką, granatowy żakiet leżał na niej lepiej niż dobrze. Morawskiemu jej obecność nie przeszkadzała.

– To nagranie z pijackiej imprezy – powiedział w końcu prezes. – Mój syn z jakąś młodą dziewczyną. Piją alkohol, uprawiają seks.

Skinąłem głową w milczeniu. Obyczajówka. Nie pierwszozna dla mnie. Mogę bronić śrubkowego księcia przed infamią.

– Jak bardzo młoda? – dopytałem przytomnie.

Trafiony, zatopiony. Żabota chrząknął znacząco, a Beata skrzywiła się z niesmakiem. Miała w sobie urok wzorowej uczennicy, której nie mieszczą się w głowie brudne sprawy śrubkowej arystokracji. Morawski patrzył w głąb pokoju, obok mnie.

– Szantażysta utrzymuje, że ta dziewczyna ma czternaście lat – powiedział w końcu.

Zastanawiałem się, czy Morawski pozwoli mi teraz po prostu odmówić przyjęcia zlecenia. Zwłaszcza że przypomniałem sobie, skąd kojarzę tatuaże osiłka z biblioteki. Zakład Karny w Wołowie. Właściciela tatuaży też skojarzyłem. Włodi czy jakoś tak. Obiło mi się o uszy u Żaboty, chyba też jego klient. Przesiedział parę lat za udział w grupie, ale mówiło się, że pociągał za spust. Może stanę się kolejnym problemem do rozwiązania, skoro i tak poznałem niewygodny sekret?

– To do więzienia z nim – odparłem.

Nastąpiła chwila ciszy. Beata uniosła brwi. Myślałem, że Morawski się wkurwi, ale ten parsknął krótkim śmiechem.

– To samo powiedziałem. Ale to nie jest jednoznaczna sytuacja. Nie obawiamy się procesu, mój syn nie jest pedofilem. Obawiamy się tego, co przed procesem zrobią z naszej rodziny media.

– Z całym szacunkiem, co może być niejednoznacznego w sytuacji, w której trzydziestolatek uprawia seks z czternastolatką?

Żabota wlepił we mnie swoje hipopotamie ślepie.

– Młody, nie wal nam tu teraz kazań, jakbyś się właśnie wytaplał w wodzie święconej – odezwał się. – Jak ci mówimy, że niejednoznaczne, to, kurwa, niejednoznaczne. Wszystko wskazuje na to, że temat uszył ten twój Tomcio Paluch, żeby wyciągnąć od Staszka kasę i akcje. Dziwnym trafem dziewczyna przepadła zaraz po imprezie.

– Zakładamy, że Faluch to zorganizował, tak, żeby Marco nie wiedział,

ile ona ma lat? – zapytałem.

– Pogadaj z Mareczkiem, sam wyrobisz sobie zdanie – odparł Żabota. – Chyba że lubisz kino niezależne, bo mamy też to nagranie...

– Może ja już pójdę – przerwała Beata. – Jakby co, proszę o telefon albo maila. – Przesunęła w moim kierunku niebieską wizytówkę.

Prezes Tovali skinął głową, to było już za dużo dla miss korporacji. Wyszła, kręcąc mimo wszystko tyłkiem tak, że nie obejrzał się tylko Morawski.

– Wystarczy mi, jak porozmawiam z Marco – odparłem.

Morawski przytaknął.

– Jak to pan ocenia czasowo? – zapytał.

– Bardzo trudno powiedzieć. Ale Falewicza mogę złapać jeszcze dziś. Przyjaciel załatwił mi bilet VIP na konferencję, na której on występuje, wczoraj go tam widziałem, dziś mają after party. Najpierw chciałbym porozmawiać z pana synem.

– W porządku. Waldemar pana zawiezie.

– Waldemar?

– Oddał mu pan swój telefon w bibliotece.

Spojrzałem z niedowierzaniem.

– Czy to przypadkiem nie jest...

– To szef naszej ochrony. I mąż mojej siostrzenicy. Ma skomplikowaną przeszłość, ale ufam mu w stu procentach – dodał Morawski, widząc moje zdziwienie.

Popatrzyłem w stronę Żaboty, ale prawnik skinął tylko głową. Raczej nie wysłałby mnie na przejażdżkę z mordercą.

– W porządku. Jeszcze jedno.

– Tak? – zapytał prezes. Żabota zaczął się już podnosić.

– Słyszałem, że szantażysta żąda jakichś akcji... To mi się nie klei z tym chłopakiem. Ogólnie to za mocne zagranie jak na blogera. Skąd wiemy, że nikt za nim nie stoi?

Morawski spojrział na mnie badawczo znad okularów, jak nauczyciel na ucznia, który zadał o jedno pytanie za dużo.

KONIEC DARMOWEGO FRAGMENTU

Spodobało Ci się? Przed Tobą jeszcze prawie 280 stron. [KLIKNIJ TUTAJ](#), aby zamówić pełną wersję w sklepie internetowym paradoks-klamecy.pl.